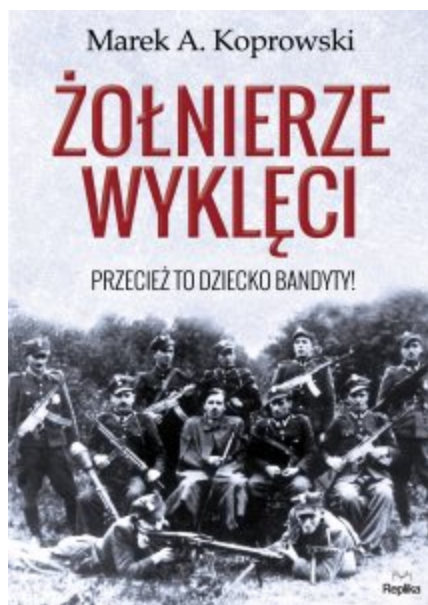


Żołnierze Wyklęci. Przecież to dziecko bandyty! **- Marek A. Koprowski**

Wkrótce dowództwo nad grupą objął Edmund Sawczyn, który używał też nazwiska Sawczyszyn oraz pseudonimów „Mundek” i „Puma”. Czy były to prawdziwe nazwiska, nie wiadomo. Wiedzieliśmy tylko, że pochodził z Kresów i że strasznie nienawidził Sowieców oraz komunistów, których obwiniał za utratę rodzimych stron. Przybył w okolice Rymanowa latem 1945 r. Tu ożenił się z Michaliną Stiach. Do Rymanowa trafił po jednej z akcji w Mrzygłodzie, podczas której został przypadkowo ranny. Wzięto wówczas do niewoli jakiegoś ubowca. Jeden z żołnierzy „Mundka” przyprowadził jeńca do niego na przesłuchanie, w trakcie którego Stanisław Dębiec „Osioł” uderzył go kolbą automatu, żeby rozwiązać mu język.



Marek A. Koprowski

Żołnierze Wyklęci. Przecież to dziecko bandyty!

rok wydania: 2014

Wydawnictwo Replika

Najmłodszy żołnierz Żubryda

Julian Kilar jest ostatnim żyjącym[1] członkiem legendarnego oddziału Antoniego Żubryda, który po „wyzwoleniu” w 1944 r., czyli po zajęciu powiatu sanockiego przez Armię Czerwoną, podjął walkę z komunistami, stacjonującymi na tym terenie Sowieci, a także nacjonalistami ukraińskimi. Tym ostatnim marzyło się przyłączenie ziemi sanockiej do „samostijnej Ukrainy” i pozbycie się z niej Polaków!

— Pochodzę z rodziny osiadłej w Rymanowie od XVIII wieku — wspomina Julian Kilar. — Tyle przynajmniej udało mi się ustalić na podstawie zachowanych dokumentów. Wielu przedstawicieli mojej rodziny pełniło wiele funkcji w mieście. Jeden z pradziadów był burmistrzem, inny cechmistrzem, kilku wypełniało również obowiązki radnych. Ja jestem drugim synem Jana Kilara i Marii z domu Ćwiek, urodzonym w 1929 r. Rodzice, niestety, wcześniej odeszli; matka zmarła, gdy miałem osiem miesięcy, a kiedy ukończyłem cztery lata, straciłem także ojca. Choć taty praktycznie nie zapamiętałem, zostałem wychowany w kulcie dla wartości, które były mu bliskie. Ojciec był legionistą i brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W domu zachowało się wiele śladów pamięci po nim. Dzięki temu, że broniąc ojczyzny, wykazał się odwagą i został ranny, otrzymał przywilej, który po jego śmierci pozwolił nam jakoś żyć: koncesję na detaliczną sprzedaż alkoholu i papierosów, czyli artykułów monopolowych.

[...]

„Grupa rymanowska” miała początkowo charakter nieformalny, a jej członkowie nie zaprzęтали sobie głowy sprawami ideologicznymi. Podstawowe problemy były dwa. Pierwszy brzmiał: z czego żyć?, zaś drugi: za co prowadzić działalność konspiracyjną? Niektórzy zgłaszali propozycje, żeby nałożyć kontrybucje na osoby kolaborujące podczas wojny z Niemcami, które dorobiły się na tym znaczących majątków. Takich osób w Rymanowie na pewno trochę było, nie konfidentów gestapo, ale osób prowadzących za aprobatą Niemców różnorakie

interesy, głównie sklepy i restauracje. Ich powodzenie zależało od życzliwości okupantów, bo w znacznej mierze funkcjonowały one poza stworzonym przez Niemców systemem kartkowym. Przez całą okupację jeden z restauratorów prowadził lokal, w którym można było zjeść i wypić bez oddawania kartek żywnościowych. Często gośćmi byli w nim Niemcy. Restaurator ten z pewnością odpłacał się im, a niewykluczone, że przekazywał też informacje zebrane wśród gości knajpy, którym po pijaku rozwiązywały się języki. Byli też w Rymanowie sklepikarze działający na podobnych zasadach. Kilku chłopaków z „grupy rymanowskiej” postanowiło oskubać tych kolaborantów i odebrać im część pieniędzy zgromadzonych dzięki dobrym stosunkom z okupantem. Napisali do nich listy, w których powiadomili, że w tym a tym dniu mają przygotować określoną kwotę, po którą zgłosi się posłaniec. Ostrzegli też adresatów tych pism, że jeżeli nie zastosują się do poleceń, to dostaną kulę w łeb. Sprawa nie wypaliła, bo do jej sfinalizowania nie dopuścił Adam Zmarz. W ostatnim momencie zawrócił chłopaków spod furtki domu jednej z osób, do której wysłali taki list. Zrugął ich strasznie: Co to? Wyciągacie rękę po złodziejskie pieniądze?!, wrzasnął, przywołując ich do porządku. Był to człowiek bardzo uczciwy, któremu w głowie nigdy by nie powstała myśl, by ci, którzy walczyli o niepodległość ojczyzny, mogli czerpać zyski z bandyckiej działalności.

Wkrótce dowództwo nad grupą objął Edmund Sawczyn, który używał też nazwiska Sawczyszyn oraz pseudonimów „Mundek” i „Puma”. Czy były to prawdziwe nazwiska, nie wiadomo. Wiedzieliśmy tylko, że pochodził z Kresów i że strasznie nienawidził Sowietów oraz komunistów, których obwiniał za utratę rodzimych stron. Przybył w okolice Rymanowa latem 1945 r. Tu ożenił się z Michaliną Stiach. Do Rymanowa trafił po jednej z akcji w Mrzygłodzie, podczas której został przypadkowo ranny. Wzięto wówczas do niewoli jakiegoś ubowca. Jeden

z żołnierzy „Mundka” przyprowadził jeńca do niego na przesłuchanie, w trakcie którego Stanisław Dębiec „Osioł” uderzył go kolbą automatu, żeby rozwiązać mu język. Automat wystrzelił i ranił „Mundka” w rękę. „Osioł”, widząc, co zrobił, zastrzelił ubowca. „Mundka” do Rymanowa przywieźli podwładni. Wśród nich byli między innymi mój kuzyn Bolesław Kilar i Stanisław Ryglewicz. Rana „Mundka” okazała się groźniejsza, niż się wydawało. Musiał zostać przetransportowany do szpitala w Krośnie; tu operował go lekarz Adam Skoczyński, który (jak się później dowiedzieliśmy) też należał do konspiracji. Po operacji przywieziono „Mundka” na kwaterę do Rymanowa.

W owym czasie na Sanoczczyźnie panował duży bałagan. Zaczęły działać na niej różne grupy zbrojne, wśród których trudno było się rozeznać. Tworzyli je dezercerzy z wojska, milicji, UB, a także mieszkańcy polskich wsi, zagrożonych przez działalność band Ukraińskiej Powstańczej Armii. Ukraińcy stanowili prawie połowę mieszkańców powiatu. Podczas II wojny światowej Sanok, z czego mało kto zdaje sobie sprawę, był w Generalnym Gubernatorstwie jednym z głównych centrów ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego. W 1939 r. Ukraińcy witali tu Niemców bramami powitalnymi i ogromną owacją na ulicach. Niemcy powołali w Sanoku ukraiński zarząd miejski, to Ukraińcy objęli też urzędnicze stanowiska w administracji okupacyjnej. Niemcy zgodzili się nawet na stworzenie reprezentacji ukraińskich interesów narodowych, która nazywała się Ukrainischer Volksrat. W pamięci mieszkańców Sanoczczyzny krwawo zapisała się też wspomagająca hitlerowców ukraińska policja, której doradcą był Wasyl Mizerny („Ren”), późniejszy herszt UPA na tym terenie. Stosowała ona bezwzględny terror wobec ludności polskiej. Po przejściu frontu bandy wzmożyły swoją działalność na terenie powiatu. Niemal codziennie słyszeliśmy o napadach i zabójstwach milicjantów, sołtysów, żołnierzy i ludności polskiej.

W tej sytuacji w polskich wsiach tworzyły się oddziały samoobrony, a członkowie Armii Krajowej wstępowali do milicji czy nawet Urzędów Bezpieczeństwa, by móc skutecznie bronić ludności polskiej przed Ukraińcami. Taka była według mnie ich główna motywacja. Także oddziały zbrojne trwające w podziemiu stawiały sobie obronę ludności polskiej przed Ukraińcami za jeden ze głównych celów. W północnej części powiatu sanockiego działała tzw. grupa mrzygłodzka, która zaczęła współpracować z rymanowską. Wkrótce dołączyła do nich kolejna grupa, dowodzona przez Antoniego Żubryda, który objął kierownictwo nad całością.

Od tej pory w świadomości społecznej nasza „grupa rymanowska” stała się częścią oddziału Antoniego Żubryda. A to był nie lada zawadiaka! Pierwszy raz przyjechał do Rymanowa mundurze oficerskim, na koniu, w towarzystwie Mariana Skiby, który we Wróbliku Szlacheckim stworzył grupę podobną do tej, jaką w Rymanowie miał Sawczyn. On też podporządkował ją Żubrydowi. Przyjechali do „Mundka” na jakieś rozmowy, w biały dzień, nie bardzo się przejmując tym, że w mieście znajdowała się sowiecka wojenna komendantura i stacjonowali Sowieci. „Mundka” w Rymanowie Żubryd nie zastał. W trybie alarmowym poderwał całą grupę, bo otrzymał meldunek, że ukraińska banda podchodzi pod Rymanów-Zdrój i może go zaatakować. Nie zastawszy nikogo, Żubryd ze Skibą przywiązali konie przy słupie na Rynku i poszli do restauracji na rogu, prowadzonej przez Franciszka Ziajkę. Szybko okazało się jednak, że w Rymanowie jest więcej szpicli niż zwykłych obywateli. Ktoś doniósł sowieckiej komendanturze, że w mieście przebywa Żubryd.

Wkrótce do restauracji Ziajki przybiegł sam sowiecki komendant Cićwierikow, którego imienia niestety nie pamiętam. Rymanowianie dobrze go zapamiętali, bo puszył się straszliwie. Chodząc po mieście, zachowywał się jak udzielny książę. Nie wiadomo, dlaczego przybiegł aresztować Żubryda sam. Może nie miał nikogo pod ręką albo tylko sobie chciał przypisać zasługę ujęcia groźnego bandyty? Wprost od drzwi ruszył do stolika, przy którym siedzieli Żubryd ze Skibą. Od razu zapytał: Kak wasza familia? Żubryd, który doskonale znał rosyjski, zapytał go: Szto wam nada?. Ten zaś dalej indagował: Kak wasza familia? Żubryd wyjął wtedy z kabury pistolet, położył na stoliku i powiedział: Eto moja familia. Cićwierikow zaczął wtedy uciekać. Żubryd strzelił za nim raz czy dwa, i nie wiadomo, czy nie chciał go trafić, czy też źle wycelował, w każdym razie tylko drasnął tego Cićwierikowa gdzieś w ramię. Ten wyskoczył na Rynek i zaczął się drzeć jak opętany. W miasteczku podniósł się alarm, ale zanim Cićwierikow sięgnął posiłki, Żubryd i Skiba wsiedli na konie i odjechali.

Na drugi dzień Sowietci zrobili w Rymanowie obławę, ale nikogo nie złapali. Żubryd przyjechał potem do Rymanowa jeszcze raz. Nie laź władzy pod nos, tylko zatrzymał się u mojego kuzyna, Bolesława Kilara. Chłopaki zaraz się tam zgromadzili, bo Żubryd przyciągał jak magnes. Ja także od razu zjawiłem się w tym domu. Kuzyn Bolesław chciał mnie przegonić, ale Żubryd nie pozwolił. Zapytał, czy umiem czyścić broń, po czym wyciągnął z kabury pistolet i spytał jeszcze, czy „z tym” sobie poradzę. Odpowiedziałem wówczas, że tak. Wyjął wtedy magazynek i dał broń. Nie pamiętam już, jaki to był pistolet, jeśli się nie mylę, to niemieckie parabellum, ale głowy nie dam. Czyścić go za dużo nie trzeba było, bo pistolet był dobrze utrzymany. Duma mnie oczywiście rozpierała, że sam Żubryd powierzył mi wyczyszczenie własnej sploty. Gdy mu ją oddawałem, uśmiechnął się, pozostawił w magazynku tylko

trzy naboje, wręczył mi paczkę po papierosach i kazał wypróbować, jak strzela wyczyszczona broń. Wyszedłem do ogrodu, ustawiłem opakowanie na płocie i wystrzeliłem te trzy naboje. Nie pamiętam, czy trafiłem w cel, ale gdy zwracałem Żubrydowi pistolet, byłem bardzo podekscytowany. Wtedy nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że z tej broni zginęło wielu ludzi, bo Żubryd bardzo często sam wykonywał wyroki...

[...]

„Grupa rymanowska” nie spotykała się tylko przy okazji wieczorków towarzyskich u mojego kuzyna Bolesława, ale także w restauracji prowadzonej przez Dominika, w której pomagałem. Byłem świadkiem rozmów kolegów brata, w związku z czym byłem dobrze zorientowany w działaniach grupy, choć miałem tylko szesnaście lat i do wielu tajemnic oddziału nie byłem dopuszczany. Nie brano mnie między innymi na akcje zbrojne, co bardzo przeżywałem, bo też chciałem się bić. Przed akcją w Haczowie zacząłem się domyślać, że grupa gdzieś się wybiera. Jej członkowie, czyli koledzy brata, żegnając się, mówili: No, to do jutra! Jutro jedziemy! Tu może zaznaczę, że w lesie lub w ukryciu przebywali tylko ci członkowie oddziału Żubryda, którzy byli „spaleni”, czyli znani UB. Pozostali byli mobilizowani do przeprowadzenia konkretnych akcji.

By zaatakować Brzozów, Żubryd musiał zmobilizować wszystkich podwładnych. Pomimo że na akcję w Brzozowie nikt mnie nie wezwał, postanowiłem wziąć w niej udział, „wprasząc się” na zgrupowanie w Haczowie. Rymanowianie jechali na koncentrację saniami, a ja wiedziałem, w którym miejscu będzie zbiórka. Zgłosiłem się na nie i

podczepiłem do jednych sań. Jadący na nich Ryglewicz, starszy ode mnie o kilka lat, wrzasnął, żebym wracał do domu, i koniec! Uważał, że jestem stanowczo za młody, by chwycić za broń i walczyć. Ja jednak kurczowo trzymałem się sań. Zerwał mi wtedy z głowy czapkę i musiałem się puścić, żeby ją podnieść. Woźnica na saniach zaciął wtedy konie i o dogonieniu ich nie było mowy. Nie dałem jednak za wygraną. Wiedziałem, kto na drugi dzień ma się udać do Haczowa, i dostałem się do celu z Bronkiem Pelczarem. Tam przespałem z oddziałem jedną noc. Ryglewicz był na mnie wściekły, za to „Mundek” okazywał dumę. Był wyraźnie zadowolony, że wykazałem charakter i oznajmił: To jest mój najmłodszy żołnierz! To właśnie tamtego dnia wreszcie oficjalnie zostałem przedstawiony Antoniemu Żubrydowi. Pamiętam, że zrobił na mnie olbrzymie wrażenie. Ubrany w oficerski mundur prezentował się wspaniale. Dla mnie, chłopaka wychowanego w kulcie munduru, wydawał się niemal Bogiem. Od razu było widać, że to człowiek obdarzony ogromną charyzmą, szanowany przez podwładnych. Żubryd się ze mną oczywiście przywitał, poklepał mnie także po ramieniu. Czułem się ogromnie zaszczycony i wyróżniony.

Na drugi dzień całe zgrupowanie z Haczowa przeniosło się na Milczę. Żubryd od wtyczki z UB otrzymał wiadomość, że krośnieńskie UB szykuje operację przeciwko jego oddziałowi i będzie koncentrować swoje siły na stacji w Rymanowie, mieszczącej się we Wróbliku Szlacheckim. Żubryd postanowił podjąć kontrakcję i uderzyć. „Mundek” świtem wysłał mnie z meldunkiem do Pelczara, który miał naprzeciwko stacji w Rymanowie gospodarstwo i który prowadził restaurację. Przekazałem Pelczarowi meldunek od „Mundka”, odebrałem też napisany przez niego krótki raport o sytuacji na stacji. Rzuciłem też okiem na samą stację i na własne oczy widziałem, że wszystkie budynki stacyjne były zajęte przez żołnierzy KBW, którzy przekształcali je w punkt zaporowy na linii kolejowej Sanok–Krosno–Jasło.

Kiedy wróciłem do Milczy, cały oddział był już podzielony na trzy części i ustawiony w szyku. Jedna miała atakować z północy, a pozostałe ze wschodu i zachodu. Milcza leżała jakieś trzy kilometry od stacji Rymanów. Szliśmy odważnie, ze śpiewem, jakby na defiladę, a nie na ciężki bój. Mną zaopiekował się Marian Bieganowski, który poradził: W walce trzymaj się mnie! Znałem go wcześniej. Był to taki pan z Kresów, który doznał wiele przykrości od komunistów; szczerze nienawidził Sowietów i przyniesionego przez nich na bagnety systemu. Wyjeżdżając gdzieś chyba spod Lwowa do Polski w nowych granicach, osiedlił się w Rymanowie i tu założył rodzinę. Cały czas trwałem u jego boku, kiedy dotarliśmy do Wróblika Szlacheckiego, ściskając jednocześnie otrzymaną pepeszę.

Gdy dotarliśmy w okolicę, w której znajdowały się zabudowania Pelczara, nagle straciłem Bieganowskiego z oczu. Wtedy właśnie rozpoczął się atak na stację. Przed sobą zobaczyłem swojego brata oraz Gienia Hanusa. Brat stał za drzewem, a Gienek za jakimś węglem. Nie zdołałem jednak do nich dobiec, bo przycisnęła mnie do ziemi seria z karabinu maszynowego, wystrzelona ze stacji. Jakiś żołnierz KBW walił chyba z cekaemu, bo drewniana sławojka, czyli kibel, została przecięta niemal na pół. Już nie próbowałem dobiec do brata, Hanusa i innych, tylko wycofałem się i dotarłem do stacji od strony wschodniej. Tu przy ścianie stał dowodzący akcją „Mundek”. Zbliżywszy się do budynku stacji, zauważyłem, że Broniek Pelczar i Edek Wojnar z Klimkówki chwieją się na nogach. Mój sąsiad, Zbigniew Białas, zawołał mnie, krzyżąc: Chodź, pomóż! Pomogliśmy im dostać się do furmanek, które zawiozły ich do Milczy.

Bój pod stacją trwał zaś nadal. „Mundek” dowodził, kryjąc się za ścianą stacji, zaś pod oknami leżał ten, którego miałem się trzymać, czyli Marian Bieganowski. Staszek Dębiec („Osioł”) usiłował go przeciągnąć na naszą stronę, podając mu lufę erkaemu. Szturchał go, licząc, że ten ją złapie i Staszek będzie mógł go przeciągnąć na naszą stronę. Marian jednak nie reagował. Był martwy! Liczył, że poderwie chłopaków jednym skokiem, ale dostał serię i padł. Widząc jakiś ruch przy ciele Bieganowskiego, KBW wzmogło ostrzał naszych pozycji z okien i o wdarciu się do budynku stacji nie było mowy. Trzeba było myśleć o szybkim odwrocie. Sawczyn kazał Zbyszkowi Białasowi wziąć grupę chłopaków i sprowadzić pod stację stojący pod semaforem pociąg, składający się z parowozu i dwóch czy trzech wagonów. Dołączyłem do nich i podsadzony przez Zbyszka, wtargnąłem do parowozu. Kazałem maszyniście jechać pod stację. Wykonał polecenie i cały czas gwizdząc (jechał bowiem na czerwonym świetle i przy opuszczonym semaforze), wolno podjechał na wskazane miejsce. W wagonach znajdowało się trzech żołnierzy i oficer, eskorta dla przewożonego ładunku. Nie stawiali oporu i zostali rozbrojeni. Żołnierzy wypuszczono, a oficera zabrano razem z nami. Cały oddział Sawczyna załadował się na wagony i szybko odjechaliśmy w kierunku Milczy. Chłopaki były wściekłe: atak się nie powiódł, a oddział poniósł straty. Chcieli się zemścić na zatrzymanym oficerze i w odwecie za śmierć Bieganowskiego rozwalić go! Jeszcze w wagonie szturchali go lufami i zaczęli mu ubliżać...

Gdy wyładowaliśmy się w Milczy, na miejscu był już oddział Żubryda, który nie zdążył dotrzeć do Wróblika Szlacheckiego i wziąć udziału w ataku na stację. Pamiętam, że Żubryd siedział na koniu i od razu zainteresował się tym zatrzymanym oficerem. Chłopaki myśleli, że każe go od razu ustawić pod ścianą i rozstrzelać. Gdy zapytali dowódcę, co z nim zrobić, ten oświadczył niespodziewanie: Ja bym go wypuścił,

to przecież też taki sam oficer Wojska Polskiego jak ja! Chłopaki zbaranieli. Miny im zrzędy. Słowa Żubryda zawsze były rozkazem: musieli oficera wypuścić.

[1] Relacja została spisana w 2013 roku. Julian Kilar zmarł 30 stycznia 2014 roku w wieku 84 lat.